

Współcześni muzycy to dowód na to, że rocka można grać w każdym wieku. Przykładem chociażby Ian Hunter – były lider Mott the Hoople – który niedawno wydał jedną ze swoich najlepszych solowych płyt („When I’m President”, 2012). Nagrywając ją, miał 73 lata. W dodatku od momentu swego scenicznego debiutu niewiele się zmienił. Wciąż ma charakterystyczną bujną blond czuprynę, a na nosie olbrzymie okulary przeciwsłoneczne. Zupełnie jak w czasach albumu „Mott” (1972) z wielkim przebojem „All the Way From Mem-

phis”. Piosenka gościła na ścieżce dźwiękowej popularnego u nas filmu „Alicja już tu nie mieszka” (1974) w reżyserii Martina Scorsese. Od jej nagrania minęło ponad 40 lat, a Hunter śpiewa dziś równie porywająco jak dawniej. Donośnie i z charakterystyczną chrypką; jakby czas się dla niego zatrzymał.

Wiek mocno dojrzały osiągnęli też dwaj członkowie Pink Floyd. Kiedy wydawali „The Endless River” (2014), David Gilmour liczył 68 lat, a Nick Mason równo 70. Ale muzycznie wciąż się trzymają. Gilmour zaś przygotowuje kolejny solowy album.

Dłużej od Pink Floyd grają razem Pete Townshend i Roger Daltrey z The Who. Zespół powstał w 1964 roku i właśnie rozpoczyna się drugie półwiecze jego działalności. Pierwszy ze wspomnianych muzyków komponował i grał na gitarze; drugi śpiewał. Pozostałymi członkami byli Keith Moon (perkusja) i John Entwistle (bas, klawisze).

Moon słynął z hulaszczego trybu życia, które zakończył równie nieodpowiedzialnie, jak je prowadził. Uzależniony od alkoholu, nadużywał leków, które miały go przed piciem chronić. Niestety, pewnego razu mocno je przedawko-

Drugie półwiecze z The Who

Grzegorz Walenda



Kiedy w latach 60. XX wieku muzyka rockowa pytano o to, jak długo zamierza biegać z gitarą po scenie, na ogół odpowiadał, że najdalej do trzydziestki. Ta magiczna, jak się wtedy zdawało, bariera wiekowa szybko została jednak przesunięta. Publiczność przestali dziwić rockmani 40-, a także 50-letni. Obecnie nawet 70 lat nie wydaje się przesadą.



wał i 6 września 1978 roku znaleziono go martwego w jego mieszkaniu. Ale wciąż jest zaliczany do najlepszych perkusistów rockowych. Bywał krytykowany za to, że nie zawsze trzymał rytm, ale wynikało to raczej z unikalnego podejścia i oryginalnego stylu niż z braku umiejętności. Te ostatnie opanował w stopniu mistrzowskim. Jeśli tylko nie pił i nie wysadzał czegoś w powie-

ślyny podwójny album „Quadrophenia” (1973). Entwistle produkował też płyty innych znanych wykonawców oraz malował. On również zmarł przedwcześnie, 27 czerwca 2002 roku, w pokoju hotelowym w Las Vegas.

Obecnie The Who to duet Daltrey i Townshend. Pierwszy obchodził niedawno 70. urodziny, a drugiego okrągły jubileusz czeka w tym roku. Dawno



trze (upodobał sobie muszle klozetowe w hotelowych łazienkach), to mało kto mógł mu dorównać. Nie bez powodu zwany był „Hendriksem bębnow”. Słynął też z demolowania zestawu perkusyjnego na koniec występu. Umieszczał w nim czasem materiały pirotechniczne, aby uzyskać mocniejszy efekt.

Entwistle też zaskakiwał słuchaczy umiejętnościami. Był jedynym członkiem The Who, który znał teoretyczne podstawy muzyki. W jego dłoniach bas często stawał się instrumentem prowadzącym. Był pod tym względem prekursorem, którego styl naśladowali inni rockowi basiści. Kwintesencją nowatorskiego podejścia jest linia basu w utworze „The Real Me”, otwierającym

już nie nagrali nowej płyty, ale wciąż koncertują, zapraszając do współpracy znanych wykonawców lub muzyków sesyjnych. W ubiegłym roku postanowili odbyć europejską trasę „The Who hits 50!”, a w kwietniu ruszają do USA.

„Cieszymy się, że wciąż gramy – twierdzi Townshend. – Świetnie jest to robić przez 50 lat. Z drugiej strony, trochę smutno. W końcu ktoś mógłby pomyśleć, że po takim czasie znajdziemy coś lepszego do roboty”.

Ostatnie zdanie to oczywiście żart, bo co może być lepszego do roboty od wyznaczania muzycznych kanonów? Grupa należy do najsłynniejszych przedstawicieli brytyjskiego rocka. Można ją śmiało postawić obok The Beatles i The

Rolling Stones. Nie wylansowała tylu przebojów co ci pierwsi i nie nagrała tylu albumów co drudzy, ale jej wkład w tworzenie charakterystycznego dla rocka stylu jest równie ważny jak działalność kompozytorsko-wykonawczych tandemów Lennon-McCartney i Jagger-Richards.

Bez The Who rock nie miałby aż tyle energii. Brakowałyby mu zadziorności i literackiej mądrości. W swoich początkach zespół mienił się reprezentantem brytyjskiego młodego pokolenia. „Ludzie próbują nas stłamsić. Tylko dlatego, że sobie radzimy” – od tych słów rozpoczyna się „My Generation” – jeden z pierwszych, a zarazem symboliczny hit grupy, opowiadający o pokoleniu

jej rówieśników. Piosenka w latach 60. XX wieku urosła w Anglii do rangi hymnu młodzieży, zwłaszcza tej części, która zaliczała się do subkultury „modsów” – młodych buntowników z robotniczych dzielnic, gloryfikujących modne stroje, skutery i rockowe rytmy, zaś nienawidzących edukacji. Problematyka związana z „modsami” oraz ich głównymi wrogami, którymi byli „rockersi”, powracała kilkakrotnie w tekstach The Who. Najjaskrawiej we wspomnianej „Quadrophenii”.

Innym znaczącym albumem w dorobku grupy był „Who’s Next”. Magazyn „Time” umieścił go na swojej liście 100 najlepszych płyt wszechczasów. Czołowym nagraniem na „Who’s Next” jest „Won’t Get Fooled Again”, ze słynnym krzykiem Daltreya w finałowym fragmencie. Z kolei w otwierającym utworze „Baba O’Riley” słychać motywy orientalne. Townshend był wtedy pod wpływem indyjskiego mistrza duchowego, Mehera Baby.

Panowie z The Who nie należą do płodnych twórców. Ich studyjna dyskografia liczy zaledwie 11 albumów, co – jak na 50 lat aktywności – nie jest liczbą oszałamiającą. Za to zawartość muzyczna większości z nich jest wyjątkowa. „Magic Bus” (na albumie koncertowym „Live At Leeds”), „Behind Blue Eyes”, „Pinball Wizard”, „I’m One”, „Who Are You”... Tego wciąż się fantastycznie słucha. Ale żeby naprawdę docenić umiejętności muzyków, trzeba ich zobaczyć na scenie. Nic dziwnego, że byli jedną z największych atrakcji festiwalu Woodstock. Jeśli komuś nie udało się być osobiście na koncercie The Who, powinien sięgnąć po jeden z licznych zapisów DVD, dzięki którym można częściowo odrobić tę zaległość. Radzę popatrzeć, jak bez specjalnych efektów wizualnych można rozpalić koncertową publiczność. Obecnie Townshend nie niszczy gitar, jak to robił prawie pół wieku temu, a mimo to trudno oderwać od niego wzrok.

Warto podkreślić, że muzycy The Who zasłużyli się nie tylko jako twórcy i wykonawcy. To dzięki nim zaistniała firma Marshall. W niej Townshend i Entwistle zaopatrzyli się w potężnej – jak na wczesne lata rocka – mocy wzmacniacze i kolumny do swoich gitar, aby dźwięki ich instrumentów mogły

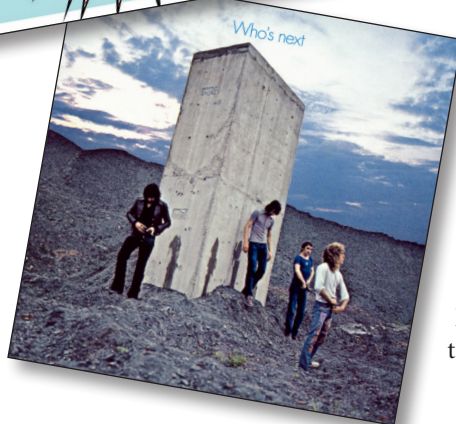
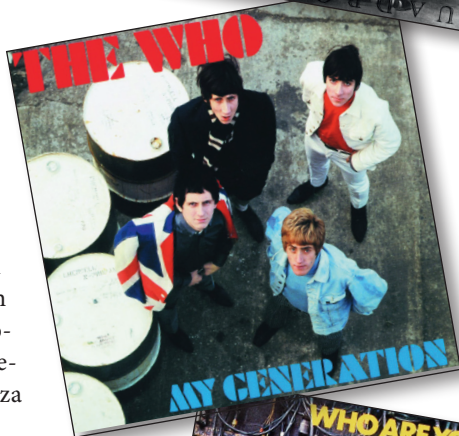
się przebić przez grzmiące bębny Moona. To na życzenie obu gitarzystów Marshall zmodyfikował budowę szaf z głośnikami. Górne skrzynie pochyłono, aby dźwięk łatwiej i wyraźniej rozchodził się ze sceny. Rock wymagał decybeli, a The Who chcieli grać najgłośniej, jak tylko się dało. I cel ten osiągnęli. Kosztował on później Townshenda częste wizyty u laryngologa, ale w początkach działalności lider grupy i pomysłodawca jej repertuaru miał ważniejsze sprawy na głowie. Troska o aparat słuchowy wtedy jeszcze do nich nie należała.

Dzięki The Who słynne Marshalla za gościły na scenach całego świata.

Townshendowi zawdzięczamy nie tylko lepszy dźwięk. Kompozytor wprowadził także do gitarowej muzyki operową dramaturgię. Legendarny album „Tommy” (1969), nazywany rock-operą, rozszedł się w nakładzie ponad 20 mln egzemplarzy. Nakręcono film oparty na jego motywach, a na Broadwayu wystawiono sztukę. Muzyka The Who kilkakrotnie powracała w wersjach innych wykonawców – m.in. rockowej oraz symfonicznej.

„Mam nadzieję, że umrę, nim się zestarzeję” – to jeszcze jeden fragment tekstu „My Generation”. Na szczęście, życzenie Townshenda się nie spełniło. Zdążył się nieco postarzeć, ale nadal jest w niezłej formie. Owszem, kilka ubiegłorocznych koncertów grupa musiała przełożyć ze względów zdrowotnych (Daltrey miał problemy z głosem), ale drugie pięćdziesięciolecie działalności The Who otwiera w świetnym stylu. Koncert za koncertem. Najpierw krótko Londyn, potem 20 amerykańskich miast, powrót na lato do Europy i znów za Atlantyk. Szkoda, że na trasie zespołu zabrakło Warszawy lub Łodzi, ale może jeszcze coś się zmieni. Oby, bo nie brakuje u nas fanów The Who, którzy chętnie przysliby na spotkanie z rockową legendą.

A jeśli nawet Daltrey i Townshend nie dotrą do Polski, to wkrótce na sklepowe półki powinna trafić kolejna wersja „Quadrophenii”. Tym razem rozpisana na orkiestrę symfoniczną, z udziałem Townshenda i operowego wokalisty Alfiego Boe zamiast Daltreya.



VOLUME

exposure

high fidelity engineering
since 1974

TAPE

AV

CD

TUNER

trimex

Wyłączny dystrybutor w Polsce:
02-922 Warszawa,
ul. Nałęczowska 31,
tel. (22) 642 46 29
tel./fax (22) 842 80 10
mail: biuro@trimex.com.pl
www.trimex.pl

Easya

Prosta. Wygodna. Bezprzewodowa. Bez wzmacniacza też sobie poradzi.

FOCAL[®]
THE SPIRIT OF SOUND

trimex

Wyłączny dystrybutor w Polsce:
02-922 Warszawa, ul. Nałęczowska 31, tel. (22) 642 46 29, tel./fax (22) 842 80 10
mail: biuro@trimex.com.pl www.trimex.pl